

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM II

36

— To z tej strony. Lonlia została dlatego tu przywiązana. Podawaj osły, Hanza! Mówił łagodnie, lecz rozkazującym głosem Anglika, zwracającego się do tubylca.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Hanza wyszedł na brzeg i pobiegł jak biała strzała przez złofo.

— To pożyteczny chłopiec — rzekł Nigel. — A teraz, Ruby, chodźmy po błogosławieństwo egipskiej Afrodyty. Otrzymamy je z łatwością, gdyż Afrodyta nie może się od ciebie odwrócić.

Podczas gdy się zbliżali do samotnej świątyni, gdzie smutna Hathor spogląda na dziedzińce, których już nie zaludniają tłumy czcicieli. Mrs. Armine popadła w milczenie. Nieprzyjemne wrażenie, doznane za pierwszą tutaj bytnością, powróciło. Lecz wtedy była zmęczona podróżą, teraz cieszyła się doskonałym zdrowiem i była w pełni sił. Nie powinna się stać ofiarą swych nerwów. A jednak, kiedy zobaczyła na ile niedługo purpurowego nieba, szarą fasadę świątyni, wznoszącej się wśród białych piasków i przypomniała sobie wykutą twarz bogini, przesadna bojaźń zakradła się do jej serca. Dlaczego Nigel powiedział, że pójdą po błogosławieństwo do tej tragicznej Afrodyty? Z pewnością żadne błogosławieństwo nie mogło spłynąć z tego ciemnego mieszkania wśród piasków, od tej bogini oddawna znieważonej opuszczeniem.

Zsiedli z osłów i weszli do świątyni. Nie było w niej nikogo, oprócz dozorczy, który ich przywitał uśmiechem, ukazując rząd białych zębów.

— Niech dzień wasz będzie szczęśliwy — rzekł po arabsku.

— Powinienby powiedzieć — niech wszystkie dni na Nilu będą szczęśliwe — rzekł Nigel. — Życzy nam szczęścia tylko na dzień, w którym mu damy pieniądze. Innego dnia moglibyśmy zginać jak psy i aniby się o nas zatroszczyć.

Mrs. Armine stała w pierwszym dziedzińcu i patrzyła na twarz Hathor, zdającą się spoglądać z wieczystym smutkiem w daleką przestrzeń.

— Zdaje mi się, że zanadto liczysz na szczęście, Nigel — rzekła. Miała uczucie, że ta kamienna twarz rozkazuje jej to powiedzieć.

— Sądzę, że błądzimy, licząc na coś — dodała.

— Myślisz, że jest błędem patrzeć w przyszłość, jak ja czynię patrząc w naszą podróż po Nilu?

— Być może.

Weszła z wolna do wyniosłych mroków świątyni.

— Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć — dodała.

Było prawie przerażenie w jej głosie.

— Wszystko tak prędko przechodzi, jakkolwiek ono jest — rzekł. Lecz to nie powód, żebyśmy nie dążyli do szczęścia i nie cieszyli się z niego. Dlaczego starasz się dzisiaj zaciemnić mój entuzjazm?

— Wcale się nie staram. Ale to niebezpiecznie być zanadto pewnym szczęścia w przyszłość.

Mówiła przesadnie i w rzeczywistości mówiła do siebie samej. Początkowo myślała o nim i mówiła do niego pod wpływem pewnego współczucia, które należało raczej do dziewczęcia, którym była dawniej, niż do kobiety, jaką się stała teraz. Mrok panujący w tej samotnej świątyni i poczucie, że to świątynia Afrodyty — myślała ciągle o Hathor jako o Afrodycie — wywierały na nią takie same wrażenie, jak za pierwszą jej bytnością. Myślała, jak krótko trwa władza kobiety nad mężczyznami, jak prędko przemija fizyczna piękność. Zdawało się jej, że słyszy, jak czas ucieka, że widzi ciemność zbliżającego się końca.

Wysoko, w mroku potężnego sklepienia powstał chór pisków. Wielkie cienie skrzydeł migotały wśród lasu ciężkich kolumn. Potworne nietoperze Hathor zostały ze snu zbudzone. Ciężki zapach, jakby wólu dawnio minionej przeszłości doleciał do nozdrzy Mrs. Armine. A światło dnia

zapadało coraz bardziej, podczas gdy ona wraz z Niglem szli dalej, pociągani pomimo woli potęgą ciemności i tajemniczą wonią płynącą z łona śmierci.

Nareszcie weszli do sanktuarium, „świętego świętych” Denderah, gdzie dawnymi czasy były zgromadzone posagi bogów Egiptu, gdzie tylko Faraon, albo jego arcykapłan mogli wchodzić w święto Nowego Roku. I stali w jego cieniu, ta kobieta wyrwywająca się do nieokreślanego życia swej sensualnej, nieporządnej przeszłości i ten mężczyzna który bez najmniejszej zarozumiałości wierzył, że zostało mu danem japostrzymać.

Dozorca świątyni, który cicho za nimi postępował, zapalił wstęgę magnezium i powołał na chwilę do życia wspomnienie Faraona, składającego ofiary. Poczem ciemność znowu zapanowała. Ta czasikowa i krótkka wizja wydała się Mrs. Arminn jakby wizja jej krótkiego życia pięknej kobiety, a ciemność, która nastąpiła, jak ciemność śmierci skrywająca ją na zawsze swą nieprzeniknioną zasłoną.

To co powiedziała Meyerowi Isaacsonowi w jego konsultacyjnym gabinecie, było prawdą. Kiedy myślała szczerze, nie wierzyła w przyszłe życie. Nie mogła pojąć życia duchowego, ani uwierzyć w zmartwychwstanie. To ziemskie życie było dla niej wszystkim.

W Londynie, zanim poznała Nigla, była podobną do Hathor w tej świątyni, słyszącą oddalające się kroki swych czcicieli. Z Niglem przyszła nadzieja wielkości światowej, ogromnego bogactwa, tryumfu nad nieprzyjaciółmi. I to nagle zawiodło. Obecnie miała znowu inną nadzieję i nadzieja ta musi się spełnić zanim jej piękność pograży się w nieuniknionej ciemności. A jej przeznaczeniem nie było wysokie położenie światowe, ani odzyskany szacunek. Nie mogąc mieć pierwszego, nie dbała o drugie. Może się urodziła do czego innego — żeby być czcicielką Wenery, a nie żeby uszczęśliwić jednego mężczyznę, jako jego prawowita żona. Sam wyraz „prawowita” przejmował ją dreszczem. Zdawało się, że była przeznaczoną do bezprawia. A zatem spełni swoje przeznaczenie bez strachu, bez litości, lecz nie bez ostrożności. A przeznaczeniem jej było wydostać się z pułapki, w którą się dostała.

Czy się z niej wydostanie? W mroku sanktuarium Hathor postanowiła, że się wydostanie, że nie jej nie powstrzyma. W Egipcie zaczęła kwiłnąć, ona, wiedząca już kobietą. Musi wyjść z pułapki i niech jej przeznaczenie się spełni. I jakby czyniąc ślub egipskiej Afrodyty, przysięgła to sobie. Nigel ją tutaj przyprowadził, ażeby ich Hathor błogosławiła w podróży. Gwałtownym popędem, odrzucając na bok wszelką litość, wątpliwość, bojaźń, wszystko oprócz płomiennego pragnienia, zwróciła się do Hathor o błogosławieństwo dla siebie w podróży — nie dla siebie i Nigla, lecz tylko dla siebie. Zwróciła się do bogini piękności, pogańskiej bogini miłości, która nie jest miłością duchową.

I natychmiast doznała wrażenia, że została wysłuchana. A jednak słyszała tylko pisk ogromnych nietoperzy wysoko pod sklepieniem.

— Chodźmy już, Ruby. Nie wiem dlaczego, lecz dzisiaj nienawidzę tego miejsca.

Drgnęła na dźwięk tego głosu, lecz zapanowała nad sobą i spokojnie odparła:

— Dobrze, chodźmy, niepokoiły tylko nietoperze.

Wychodząc, spojrzała na kolumnę, z której patrzył Hathor, jakby szukając czcicieli i szepnęła pożgnanie bogini.

Skoro tylko znaleźli się na Lonlii, Nigel wydał rozkaz, żeby odpłynąć. Zdawało się być rozgorączkowanym, nie mógł usiedzieć spokojnie. A kiedy Lonlia zaczęła pruć wodę Nilu i brzegi zdawały się uciekać w lilowe światło północy, otworzył ramiona i wydał westchnienie połączone z okrzykiem. Zaśmiał się z siebie i odwrócił się szukając Ruby.

Stała na wierzchnim pokładzie pomiędzy palmami w wazonach z rękami opartymi o poręcz i wzrokiem zwróconym na niego. Zdjęła kapelusz i welon i zachodzące słońce oświecało jej dziwnie jasne, połyskliwe włosy. Skoczył i stanął przy niej.

— Nareszcie płyniemy! — zawołał.

— Jaki jesteś uradowany! Nazwałeś mnie dzieckiem, lecz sam jesteś jak chłopiec. Pomyslałbyś kto, że masz — Nie, to nie byłoby jak chłopiec.

— Co chciałaś powiedzieć?
— Że ktoś mógłby pomyśleć, że masz jakiegoś wroga w Kenh i że przed nim uszedłeś.
— Przed nim. Powinnaś powiedzieć przed nią.
— Przed nią?

— Hathor. Ta świątynia w Denderah zdawała się być nawiedzona dzisiaj.

Zsunął kapelusz z czoła, wystawiając je na powiew wietrzyka.

— Kiedy staliśmy w sanktuarium zdawało mi się, że czuję śmierć i zgniliznę. Uff!

Twarz jego się zmieniła na to wspomnienie.

— A piski tych nietoperzy! To jak pogróżki duchów. Byłem waryatem, żeby iść w takie miejsce po błogosławieństwo na naszą podróż. Moja próba pogaństwa została ukarana i nic dziwnego, Ruby. Nie zdaje mi się, żebym był choć trochę pogańskim. Nie widzę wielkiej radości w pogańskim życiu. Nie mogę zrozumieć, jakim sposobem krótkie życie może być radosne. Jak może się radować człowiek, widzący tylko ciemność przed sobą?

— Jaką ciemność?

— Śmierć — bez zmartwychwstania.

Milczała chwilę, poczem zapytała.

— Znajdujesz, że śmierć, to tylko drzwi do innego życia?

— Wierzę, że tak jest. A ty?

— Owszem. A zatem nie obawiasz się śmierci?

— Czy się obawiam — teraz? Musiałbym teraz tak wiele opuścić! A zresztą lubię to życie, cieszę się nim. Kto by się nim nie cieszył z moim zdrowiem. Dotknij się tego ramienia!

Nie ruszyła się. Wzięła jej rękę i przycisnęła palce do swych mięśni.

— Jak stał — rzekła odejmując rękę. Ale mięśnie i zdrowie to nie to samo, prawda?

— No nie, lecz czy widziałaś kiedy człowieka wyglądającego lepiej odemnie?

Stojąc przy niej, rozpromieniony, wyprostowany ze swymi błyszczącymi zapałem niebieskimi oczami, jasnymi, krótkimi włosami, wyglądał jak bożek zdrowia.

— Oh, wyglądasz zupełnie dobrze — rzekła — tak jak mnóstwo mężczyzn, oddających się sportom.

Zaśmiał się.

— Nie mówisz mi komplementu, którego gagnę. Patrz na te łodzie, naładowane glinianymi wyrobami. Wszystkie te naczynia — kufki, jak je tubylcy nazywają — są wyrabiane w Kenh. Widziałem ludzi przy robocie. Jak to dobrze widzieć życie rzeki! Ustawicznie jest coś nowego, coś zajmującego. Ludzkość przy pracy w słońcu, na otwartym powietrzu. Kto nie wolałby raczej być fellahem, niż pracować w jakimś angielskim mieście? Przez całą drogę na Nilu będziemy słyszeli stare pieśni, te same, które śpiewano, kiedy Slinks został wykuty w żywej skale i będziemy widzieli idące sznurem kobiety z dzbankami wody na głowach. Żebyśmy tylko powrócili, zanim stątki zaczną kursować i Nil będzie podobny do ciągłego snu! Ale co tam! Ostatecznie odmówiliśmy Barondiemu jego masywną parowę. Będziemy więc płynąć z wiatrem, albo będą nas holować, jeżeli wiatr ustanie, a nie zechcemy stać u brzegu. To jedyny sposób podróżowania Nilem, lecz naturalnie Barondi używa tej rzeki, jak kolei żelaznej, żeby jeździć za interesami.

Zatrzymał się, jakby jego myśli weszły na inne tory i znowu się odezwał:

— Czy to nie dziwne, że się znajdujemy na łodzi Barondiego, którego nie widzieliśmy od czasu, kiedy nas zaprosił na herbatę? Przyszedło mi na myśl...

— Co?

— Myślałem, że może przyjedzie, żeby nas wprowadzić na łódź i życzyć nam szczęśliwej podróży.

— Po co miałby to czynić?

— Rozumie się, że to nie konieczne, ale byłoby wielką grzecznością okazaną tobie.

— Oh, sądzą, że im mniej europejskie kobiety doznają grzeczności ze strony ludzi Wschodu tem lepiej — rzekła szydersko.

— Masz na myśli tę wściekłą niemkę w Fayum. Lecz Barondi jest bardzo dobrze widziany przez Anglików w Egipcie. Dowiedziałem się o tem w Kairze. Jest persona grata jak na Egipcjanina. To jeden z powodów jego powodzenia we wszystkim, co przedsięwziął.

(Ciąg dalszy nastąpi).